

NAJDŁUŻSZY DZIEŃ POWSTANIA - artykuł Macieja Zuczковского

Sześćdziesięciu powstańców - wśród ruin, pod ostrzałem - przez cały dzień przebijało się ze Starego Miasta do Śródmieścia.

Większość tego czasu spędzili ukryci w piwnicy płonącego domu, do której Niemcy, na wszelki wypadek, wrzucali granaty. Dla nich 31 sierpnia 1944 roku był najdłuższym dniem Powstania.

Siły powstańcze, które 1 sierpnia 1944 roku o godzinie „W” podjęły walkę o Stare Miasto, liczyły niewiele ponad tysiąc słabo uzbrojonych żołnierzy. Mimo to w ciągu kolejnych czterech dni udało się im opanować zasadniczą część tej dzielnicy. Nie zdołali jednak zająć Dworca Gdańskiego i przyległych do niego terenów - punktu kluczowego dla łączności Starówki z Żoliborzem. 7 sierpnia udane niemieckie natarcie wzdłuż ulic Wolskiej i Chłodnej doprowadziło do odcięcia Starego Miasta od Śródmieścia. To wydarzenie zapoczątkowało okres przeszło trzytygodniowych walk w obronie Starówki prowadzonych przez utworzoną tego samego dnia Grupę „Północ”, dowodzoną przez ppłk./płk. Karola Ziemskiego „Wachnowskiego”. Za najważniejsze zadanie - oprócz wzmocnienia obrony podległego mu obszaru - uznał on przywrócenie łączności z Żoliborzem i Śródmieściem. Posłużyły do tego tzw. drogi specjalne: 10 sierpnia pierwsze patrole przedarły się kanałami do obu tych dzielnic.

Stare Miasto jednak nadal było okrążone. W ciągu kolejnych dwóch tygodni przeprowadzono trzy próby rozerwania niemieckich sił izolujących tę dzielnicę. Niestety, wskutek ogromnej dysproporcji siły ognia, słabości polskich oddziałów i braku koordynacji ich działań, wszystkie natarcia przyniosły jedynie straty w postaci kilkuset zabitych i rannych żołnierzy AK. W tej sytuacji zaniechano kolejnych ataków.

Ambitny plan

Przez cały sierpień napór Niemców na Stare Miasto wzrastał, w dodatku lotnictwo i ciężka artyleria systematycznie obracały je w ruinę i coraz bardziej kurczył się teren broniący przez powstańców. Dlatego 25 sierpnia rozpoczęła się stopniowa ewakuacja sił polskich

kanałami. Na początku do Śródmieścia przeszli oficerowie Komendy Głównej AK i przywódcy polityczni Polskiego Państwa Podziemnego. Jednakże drogą specjalną z okrążonej dzielnicy mogło się wydostać stosunkowo niewielu ludzi. W sztabie płk. „Wachnowskiego” powstał wówczas - zatwierdzony przez dowódcę powstania płk. Antoniego Chruściela „Montera” - projekt zbrojnego przebicia się staromiejskich oddziałów Grupy „Północ” wraz z rannymi oraz ludnością cywilną do Śródmieścia. Przygotowano skomplikowany plan



zakładający równoczesne natarcie z obu stron, ze Starówki i Śródmieścia, skoordynowane z desantem na pl. Bankowy, przeprowadzonym z kanałów. Odległość między pozycjami wyjściowymi obu polskich zgrupowań wynosiła ok. 800 m. Tej długości „korytarz” należało wywalczyć, a potem utrzymać. Jego docelowa szerokość miała wynieść ok. 400 m. Zaplanowano natarcie dwoma skrzydłami. Prawą kolumnę pod dowództwem mjr. Gustawa Billewicza „Sosny” stanowiły: batalion „Chrobry I”, oddział Korpusu Bezpieczeństwa i niedobitki harcerskiego batalionu „Parasol”. Łącznie siły tej kolumny wynosiły około dwustu żołnierzy. Miała ona nacierać z pozycji wyjściowych przy ul. Długiej w Pasażu Simonsa i z reduty Matki Boskiej. Po opanowaniu Pałacu Radziwiłłów przy ul. Bielańskiej miała zaatakować przez ul. Długą i Tłomackie w kierunku ul. Rymarskiej. Lewą, silniejszą kolumną dowodził ppłk Jan Mazurkiewicz „Radosław”. Składała się ona z grupy kpt. Eugeniusza Konopackiego „Trzaski”, dowodzącego pododdziałami batalionów „Wigry”, i Wojskowej Służby Ochrony Powstania „Dzik” oraz z brygady „Broda” mjr. Jana Andrzejewskiego „Jana” w składzie „Zośka”, „Topolnicki” i „Dysk”. Łącznie do natarcia miało ruszyć około trzystu żołnierzy. To właśnie oddziały lewej kolumny miały wziąć na siebie główny ciężar przebicia. Ich zadanie polegało na szturmowaniu z obu stron Banku Polskiego przez ruiny domów między ul. Bielańską a Senatorską z ogólnym kierunkiem natarcia na Szpital Maltański i pl. Bankowy. Stamtąd – po połączeniu się z desantem kanałowym i we współpracy z oddziałami mjr. „Sosny” – kolumna miała prowadzić dalsze natarcie wzdłuż ulic: Elektoralnej, Zimnej i Przechodniej w kierunku na Hale Mirowskie i pl. Żelaznej Bramy, gdzie powinno nastąpić spotkanie z oddziałami nacierającymi od strony Śródmieścia.

Integralną częścią natarcia przeprowadzonego ze Starego Miasta miał być wspomniany desant kanałowy na pl. Bankowy. Zadaniem stworzonego na potrzebę tej konkretnej akcji oddziału dowodzonego przez por. Zbigniewa Ścibor-Rylskiego „Motyla” było opanowanie pl. Bankowego, a następnie współdziałanie z kolumną główną w natarciu w kierunku Szpitala Maltańskiego.

Zadaniem oddziałów śródmiejskich w łącznej sile prawie 550 żołnierzy było opanowanie niemieckich koszar przy ul. Ciepłej, a następnie zdobycie hal targowych i pl. Mirowskiego, które miały zostać utrzymane do czasu dotarcia oddziałów ze Starego Miasta.

Nieudana próba

Pierwszy do walki miał przystąpić desant kanałowy. Po opanowaniu pl. Bankowego miał dać zieloną rakieta sygnał do równoczesnego natarcia siłom powstańczym ze Starego Miasta i ze Śródmieścia. Zgodnie z planem miało to nastąpić kilka minut po 23.00. Niestety, wkrótce po osiągnięciu pl. Bankowego przez oddział por. „Motyla” okazało się, że założenia całej akcji oparte są na błędnym rozpoznaniu. Na pl. Bankowym znajdowały się znaczne siły niemieckie, w dodatku dwóch z trzech studzienek, którymi miał nastąpić „desant”, nie udało się otworzyć. W rezultacie po kilkudziesięciu minutach walki i stracie kilku żołnierzy oddział musiał się wycofać, nie zrealizowawszy zamierzonych celów.

Także natarcie ze strony Śródmieścia, rozpoczęte pomimo braku sygnału od desantu kanałowego ok. 1.00 w nocy, nie osiągnęło wyznaczonych celów i zmuszone było cofnąć się na pozycje wyjściowe, chociaż oddziałom tym udało się dotrzeć do Hal Mirowskich. Nie miało to jednak znaczenia wobec rezultatu walk stoczonych przez kolumny nacierające ze Starego Miasta.

Na skutek zatoru spowodowanego przez rannych i cywilów przygotowujących się do przejścia do Śródmieścia oddziały ppłk. „Radosława” i mjr. „Sosny” osiągnęły pozycje wyjściowe dopiero ok. 1.00 w nocy. Wobec niepowodzenia na pl. Bankowym rezultatem tego opóźnienia było zmarnowanie większości i tak krótkiej nocy oraz utrata elementu zaskoczenia. Ostatecznie natarcie rozpoczęło się dopiero ok. 3.00 nad ranem. Pierwszy zaatakował kilkudziesięciosobowy oddział kpt. „Trzaski”, któremu za cenę znacznych strat udało się sforsować ul. Bielańską, jednakże w skutek silnego niemieckiego oporu i wysokich strat grupa ta, z wyjątkiem samego

kpt. „Trzaski”, musiała się wycofać na pozycje wyjściowe. Widząc jej niepowodzenie, trzy plutony kompanii „Rudy” pod bezpośrednią komendą dowódcy batalionu „Zośka” kpt. Ryszarda Białousa „Jerzego” szczęśliwie przebiegły ul. Bielańską. Chwilę później została ona jednak zablokowana na tyle skutecznym ogniem niemieckim, że tylko dowódcy „Brody” ze sztabem i kilku żołnierzom kompanii „Maciek” baonu „Zośka” udało się ją przekroczyć. Niestety, ten nieliczny oddział chwilę później został wystrzelany z zamaskowanego w ruinach stanowiska karabinu maszynowego.

Niemiecki ogień położony wzdłuż ul. Bielańskiej uniemożliwił sforsowanie ulicy grupie mjr. „Sosny”, a także odwrót wspomnianej kompanii „Maciek”. Grupie tej, wzmocnionej o pojedynczych żołnierzy z innych oddziałów (m.in. osamotnionego kpt. „Trzaskę”), udało się przeniknąć w rejon ul. Senatorskiej naprzeciwko ruin kościoła św. Antoniego. Mając odcięty odwrót, kpt. „Jerzy” oraz dowódca kompanii ppor. Andrzej Romocki „Morro” zdecydowali się kontynuować w tej chwili już nie tyle przebijanie, ile przedzieranie się w kierunku Śródmieścia. Kapitan „Jerzy” po latach wspominał: „[...] decyduję się zmienić kierunek natarcia na kościół św. Antoniego, bibliotekę Zamoyskich, Ogród Saski, palmiarnię, gmach Giełdy, Królewską, Zielną, gdzie są już nasi. Natarcie to najlepiej byłoby prowadzić nocą, ale utrzymanie do nocy budynku, w którym jesteśmy, nie wydaje się możliwe ze względu na specjalnie trudną obronę”. Przygotowania do przeskoku przez ul. Senatorską do kościoła św. Antoniego przerwała informacja, że od ul. Bielańskiej nadchodzą Niemcy. Oddajmy jeszcze raz głos kpt. „Jerzemu”: „Wstaję szybko i nakazawszy reszcie pozostanie na miejscu i obserwację przedpoła, sam biorę ze sobą dwóch ludzi z lkm-em [lekkim karabinem maszynowym - M.Ż.] i kilku stenistów [nazwa od brytyjskiego zrzutowego pistoletu maszynowego sten - M.Ż.] i udaję się na pierwsze piętro budynku [...]. Rzeczywiście, szeroką falą tyraliery posuwają się Niemcy w sile, którą oceniam na dwie drużyny. Podchodzą, przetrząsają ruiny i zbliżają się do nas, nie zachowując żadnej prawie ostrożności [...]. Szeptem wydaję rozkazy, podczas gdy Witold umieszcza lkm-y na stanowiskach, sam z kilkoma ludźmi z pm-ami [pistoletami maszynowymi - M.Ż.] zajmuję miejsce naprzeciw otworu w murze, którym już wlewają się Niemcy. Niespokojne spojrzenia chłopców uderzają we mnie, a raczej moją podniesioną rękę, która wnet opadła, rozpoczynając nagle szal ognia, jakim z bliskiej, bo około 30 metrów liczącej odległości, nasze lkm-y i pm-y rażą wroga. [...] nie widziałem żadnego Niemca, który by krył się czy uciekał”. Po krótkiej walce „Jerzy” wraz z „Morro” zaplanowali przeskok przez ulicę Senatorską: „Mamy skakać przez ulicę frontalnie, dość zwartym rojem, osłonięci z obu stron dymem naszych »filipinek« [granaty konspiracyjnej produkcji - M.Ż.]”. Plan się udał: niemieckie karabiny maszynowe, do tej pory szczelnie blokujące ul. Senatorską, przestały strzelać na kilka sekund. To wystarczyło, aby przeszło sześćdziesięcioosobowa grupa powstańców wbiegła do kościoła św. Antoniego. Na środku ulicy pozostał tylko jeden ciężko ranny powstaniec - ten, który się zawahał. Większość członków grupy była ranna, w tym obaj dowódcy: por. „Morro”, który otrzymał postrzał w twarz, i kpt. „Jerzy”, zraniony w nogę. Mimo to „Morro” poprowadził rozpoznanie w kierunku biblioteki Zamoyskich.

Oczywiste było, że niemożliwe jest kontynuowanie przedzierania się do Śródmieścia w dzień. Z kolei na utrzymanie się w zrujnowanym kościele do nocy też nie było większych nadziei, szczególnie że Niemcy wprowadzili do walki czołgi. Groźba zniszczenia całej grupy była duża. Po powrocie ze zwiadu „Morro” i „Jerzy” postanowili opuścić wraz z oddziałem kościół, wykorzystując hałas czyniony przez niemieckie natarcie, i ukryć się w piwnicach pobliskiego wypalonego budynku. Stanisław Lechmirowicz „Czart” wspominał: „[...] gęsta, puszysta trawa tłumi uderzenia kroków, a dalej są już gruzy. Mijamy węgiel jakiegoś muru i wbiegamy do piwnicy zagrządzającego nam drogę budynku. Wejście do suterren zamyka erkaem, drugi ustawia się w głębi, na wprost okienka, z którego widać Ogród Saski. Stłoczeni, usiłujemy się pomieścić w wąskim, ciasnym korytarzu”.

O napięciu, jakie towarzyszyło żołnierzom, świadczy tragiczny wypadek opisany na podstawie relacji świadków tamtych wydarzeń przez Aleksandra Kamińskiego w książce *Zośka i Parasol*: „Ledwo erkaem zajął stanowisko, gdy z zewnątrz rozległ się tupot kroków, pchnięto drzwi i w rozświetlonej ich ramie ukazał się żołnierz w wehrmachtowskim mundurze, z bergmanem gotowym do strzału. Ta-ta-ta-ta-ta - zajazgotał erkaem i żołnierz

wbiegający w drzwi zwał się twarzą na posadzkę korytarza piwnicznego”. Dopiero wówczas okazało się, że był to powstaniec, który dołączył do „Zośki” w czasie walk na Starym Mieście. Jak wyglądał pobyt w piwnicy, najwięcej opisał Stanisław Likiernik „Machabeusz”: „Nieprzyjacielem nie wiedzieli, gdzie się podzieli. Przez okienka w piwnicy widać ich nogi na podwórzu. Nie wolno mówić, kaszleć, jęczeć ani się ruszać. Ściany, rozgrzane pożarem, pełnią rolę kaloryferów, w tej porze roku absolutnie zbędnych. Upał jak w łaźni. Czekamy. Na co i jak długo? O szóstej rano zajęliśmy, o dziesiątej wieczorem opuściliśmy tę przeklętą piwnicę. Około jedenastej w południe Niemcy usłyszeli jakiś szelest. Na wszelki wypadek wrzucili nam parę granatów. Wybuch i cisza. Szczęśliwie nie ma strat. Ukrywamy się poza załomami murów i czekamy, krztusząc się kurzem. Znowu wybuchy, krótkie serie cekaemu po naszych oknach i znowu spokój. Szkopy mimo wszystko boją się wejść. Nasze sanitariuszki resztą wody z manierek poją rannych. »Bor« (Zygmunt Siennicki) jęczy, zatykamy mu ręką usta. Cicho, cicho, to nasza jedyna szansa. Pot zalewa oczy, rany boją, granaciki w odstępach półgodzinnych stanowią »miłą rozrywkę«. Był to chyba najdłuższy dzień w moim życiu”. Dopiero po 22.00, na rozkaz kpt. „Jerzego”, oddział wyruszył w dalszą drogę: „Zapowiadam wszystkim – wspominał później »Jerzy« – aby milczeli, jedynie »Drogosław« [Jan Więckowski] i »Witold« [Witold Morawski], znający dobrze niemiecki, mają iść na czele i odpowiadać na ewentualne pytania”.

Powstańcy, umundurowani w niemieckie bluzy polowe i hełmy zdobyte w magazynach na Stawkach, w ciemnościach z powodzeniem uchodzili za oddział Wehrmachtu zmierzający na pierwszą linię walk. W ten sposób, z małymi emocjami towarzyszącymi każdemu spotkaniu z Niemcami, dzięki zimnej krwi i perfekcyjnej znajomości języka niemieckiego przez „Drogosława” oddział bez walki dotarł do budynku Giełdy, o który kpt. „Jerzy” spodziewał się stoczyć bój z Niemcami. Na szczęście ich tam nie było. W tym momencie od „polskiego” Śródmieścia grupę kpt. „Jerzego” dzieliła już tylko ul. Królewska. „Czart” wspominał: „W tym momencie dostajemy wściekły ogień broni maszynowej i działek szybkostrzelnych. Gdzieś od Świątynki pikują w nas serie kul. Jednocześnie budzi się Śródmieście. Głuche dudnienie dalekich cekaemów wplata się w grzechot działek z Saskiego, a z prawej strony giełdy zrywają się krzyki Ukraińców. Ktoś z naszych pada. »Dobijcie mnie! Dobijcie mnie!«. Jęk rannego rozsuwa się błagalnym skowytym, ktoś podbiega. Suchy trzask pistoletu i skurczony w mroku cień milknie. Z głębi Granicznej rozsiekał się naraz głębokim jazgotem Maxim. Śródmieście czuwa – spodziewając się natarcia. Cekaem pruje równo po ścianie, za którą stoimy. W otworze okna staje Andrzej Morro. Potężnym głosem próbuje przekrzyczeć ujadanie cekaemu: »nie strzelać, idą polskie oddziały ze Starówki! Baon Zośka! Niech żyje Polska!«. Maxim zdaje się chwilę wahać – i cichnie. Skaczemy w kierunku rogu Próżnej i Zielnej, gdzie prawdopodobnie są nasi, na wszelki wypadek gotujemy się do szturm. Zeskakujemy niezdarnie z wysokich okien w ruinach i potykając się o zwisające nisko nad jezdnią druty tramwajowe, przebiegamy ulicę. [...]. Przesadzamy niskie okna i wskakujemy do mrocznego wnętrza. W pokoju nie ma nikogo. Ktoś otwiera z rozmachem drzwi i nagle oślepią nas strumień elektrycznego światła. »Nasi! Nasi!«”.

Ogółem do Śródmieścia przedarło się 59 żołnierzy, w tym czterdziestu z batalionu „Zośka”. I chociaż ich dokonanie z wojskowego punktu widzenia miało bardzo niewielkie znaczenie, to jednak jest ono jednym z tych wydarzeń, które zbudowały legendę Powstania i przede wszystkim harcerskiego baonu „Zośka”.

Maciej Żuczkowski - historyk, pracownik Oddziałowego
Biura Badań Historycznych IPN w Warszawie

Tekst pochodzi z numeru 7-8/2014 miesięcznika „Pamięć.pl”.

[Zapraszamy do lektury.](#)



Drukuj

Generuj PDF

Powiadom

Liczba wejść: 81641, od Data publikacji 24.08.2016
